



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

## Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

UNIwersYTET KRAKOWSKI,

przez

Romana Plenkiewicza.

(Dokończenie).



Bakalarz uniw. krakowskiego.  
(ze starego szttychu).

Jak Akademia Kazimierza W. wzorowała się na akademii bonońskiej we Włoszech, tak uniwersytet Jagielloński przejął wszystkie urządzenia od uniwersytetu paryskiego i w prawach swych został z nim porównany. Tworzył on osobną rzeczpospolitą nauk, niepodległą prawu krajowemu. Nad całością jego uposażeń, jako kanclerz, czuwał biskup krakowski; na czele zaś wewnętrznego zarządu stał rektor, z tytułem *magnificus*, wybierany z grona profesorów w każdym półroczu. Na uroczystościach uniwersyteckich występował on i dotąd występuje w todze aksamitnej, purpurowej, z gronostajowym kołnierzem i złotym łańcuchem na szyi, oznaką zaś jego władzy były dwa berła złote, noszone przed nim przez pedelów na aksamitnych purpurowych podszkach. Berła te i na herbie uniwersytetu się znajdują. By, jak król wyglądał, brak mu było tylko korony; zamiast niej, nosił na głowie czarny biret doktorski.

Na czele znów każdego z wydziałów stał dziekan, wybierany również z grona profesorów, do których składu należał. Wydziałów zaś takich było 4: teologiczny, prawny, medyczny i filozoficzny. Obejmowały one nauki, odnoszące się do Boga, człowieka i natury, czyli wszech *całość* ich (*uniuersitas*) i stąd nazwa *uniuersytet*. Wstępujący nań, musiał naprzód ukończyć *trivium*. To dawało prawo do słuchania wykładów na wydziale filozoficznym, który, lubo obejmował nauki w sobie zamknięte, był tylko przygotowaniem do trzech innych wydziałów. Profesorowie, jako duchowni, mieszkali wspólnie w gmachach, zwanych *kolegiami*. Te nosiły nazwę *większego* (*colegium majus*) i *mniejszego* (*colegium minus*). Scholarowie, znów, czyli studenci, mieszcili się w gmachach, zwanych *bursami*, których było kilka, jak: bogatych, biednych, jerozolimską, kanonistów (słuchaczy prawa kościelnego), niemiecką, węgierską i inne.

W tej rzeczpospolitej nauk każda godność zdobywała się pracą usilną, każdy wyższy stopień otrzymywało się

przez egzamina i dysputy. Takich stopni było cztery: 1) bakałarza, który dawał prawo do uczenia w trivium, 2) licencyata (znaczy wyzwołony), 3) magistra, czyli mistrza, który dawał już prawo do wykładów w uniwersytacie, lecz tylko na wydziale filozoficznym; wreszcie 4) doktora, otwierający drogę do wszystkich godności naukowych.

Przez cały wiek XV uniwersytet krakowski pod względem nauki stał na równi ze wszystkimi uniwersytetami zachodniemi i w piśmiennych z nimi pozostawał stosunkach. Nawet sobór bazylejski w sprawach religijnych do jego odwołuje się zdania. Wydaje też mężów europejskiego rozgłosu. Do nich należą teologowie i mistrze prawa kanonicznego: Mikołaj z Błonia, Mikołaj z Kozłowa, Jan ze Lgoty (Elgot), Benedykt Hesse, Jan z Kant (Kanty), zaliczony w poczet świętych i inni. Z prawników: Paweł Włodkowic z Brudzewa i Mikołaj Czepiel. Z matematyków: Michał z Wrocławia, Wojciech z Brudzewa, Jakób z Kobylina, Mateusz z Szamotuł, Marcin z Olkusza, wreszcie największa chluba narodu, Mikołaj Kopernik, który budowę świata wyjaśnił i nietylko przyczynił się do rozwoju nauk matematycznych, lecz i całą wiedzę ludzką na nową tory wprowadził. Również w tym wieku uniwersytet krakowski wydał jednego z najznakomitszych naszych historyków: Jana Długosza; z filozofów: Jana z Głogowa.

Choćby uniwersytet wykształcił mężów tylko tych, jużby się miał czem przed światem pochlubić. Tymczasem do tego gwiazdzbioru i wiek XVI nie jedną nową gwiazdę pierwszej wielkości dorzucił. Szymon Marycki, Jędrzej Frycz Modrzewski, Stanisław Grzępski, Łukasz Górnicki, Jan Kochanowski, Jakób Górski, Jan Leopolita, Sebastian Klonowicz, a przede wszystkim Piotr Skarga Pawełski i Jakób Wujek—są to wszystko, nie mówiąc o wielu innych, profesorowie lub uczniowie Jagiellońskiej Wszechnicy. Tylko w tym XVI wieku coś się już psuć w niej zaczyna. W ubiegłym stuleciu uprawiała ona tak zwaną filozofię scholastyczną, narówni z innymi uniwersytetami na zachodzie; słynęła nadto z nauk matematycznych i prawnych. Nic przeto dziwnego, że sławą swych profesorów ściągała młodzież z Czech, Niemiec, Danii, Węgier i Szwecyi. Ale, poczynając od połowy XV wieku, obok filozofii scholastycznej zaczęły się szerzyć pod wpływem Włoch nauki humanitarne, polegające na znajomości języków i literatury greckiej i rzymskiej. Upowszechnienie ich na zachodzie wywołało zupełny przewrót w umysłach i stworzyło tak zwaną epokę Odrodzenia. Prąd ten nowy nie ominął i uniwersytetu krakowskiego. Zaszczepiony w nim około r. 1433 przez Grzegorza z Sanoka, zaczął się nawet bujnie pod wpływem jego uczniów rozwijać, ale jednostronnie przyswojony, gdyż tylko na znajomości języka i literatury rzymskiej oparty, nie mógł wydać takich jak na zachodzie owoców.

Nadto w Niemczech, w ślad za humanizmem, szła religijna reforma. Znajomość języka greckiego ułatwiła badanie Nowego Testamentu w oryginale i ośmielała umysły do objaśnienia jego tekstu, czyli osnowy, według własnego wyrozumienia. To zrażało do humanizmu uniwersytecką starszszynę, zwłaszcza, że ten podkopywał powagę filozofii scholastycznej, którą oni uważali za główną podporę wiary. Stąd za nic w świecie nie chcieli wprowadzać nauki języka greckiego, a nawet i wykłady literatury rzymskiej

co raz bardziej ograniczać zaczęli. Największy jednak błąd popełniła uniwersytecka starszszyna, odrzucając naukę Kopernika o obrocie ciał niebieskich. Tym sposobem skazała się na zastój, gdyż nie mogła u siebie nauk matematycznych rozwijać, które od czasu wielkiego astronoma polskiego robiły coraz większe postępy. To też ów wiek XVI przedstawia dziwne zjawisko. Gdy w XV młodzież cudzoziemska na nauki do Krakowa przybywała tak licznie, że dla niej musiano oddzielne bursy (niemiecka, węgierska) zakładać; obecnie młodzież krajowa wyjeżdża tłumnie na uniwersytety niemieckie, włoskie, francuskie, czując, że ta dawna krzewicielka wiedzy nie wystarcza już ich umysłowym potrzebom. Odczuwali to zresztą sami biskupi krakowscy i, jako kanclerze uniwersytetu, starali się złemu zaradzić. Jakoż, Piotr Tomicki powołuje na katedrę języka greckiego Jerzego Libana; Samuel Maciejowski—Illicynusa, Greka, a do wykładów języka hebrajskiego Franciszka Stankara, Włocha. Ale starszszyna przyjmuje ich niechętnie i pod pozorem, że sprzyjają reformie, usuwa z uniwersytetu. Wiek XVII jeszcze bardziej jego poziom naukowy obniżył. Podług przywileju Władysława Jagiełły, miał on wyłączne prawo zakładania szkół w Koronie, które zwano na sposób włoski akademiami, lub powszechniej koloniami. Tymczasem Zgromadzenie Jezuitów, którym Batory, zakładając Akademię w Wilnie, nadał prawo nauczania na Litwie, założyło swe szkoły naprzód w Poznaniu, a następnie w Krakowie. To wywołało spór zażarty pomiędzy uniwersytetem, a Zgromadzeniem, który trwał od r. 1621 do czasów Władysława IV i sprowadziło mi strzów krakowskich z drogi nauki na niewdzięczne pole procesów na sejmach, w Trybunale koronnym i w Rzymie. Pochłonęło to wszystkie dochody uniwersytetu, tak, iż w końcu nie miał czem własnych profesorów opłacać.

Taki stan upadku trwał w nim aż do r. 1780, w którym, Hugo Kołłątaj jego reformy z polecenia Komisji edukacyjnej dokonał. Wtedy dopiero, zakorzeniony w nim system nauczania, na filozofii scholastycznej od czasów Władysława Jagiełły oparty, runął, ustępując naukom i metodom od wieku XVI na zachodzie przyjętym i w miarę postępu ulepszanym stopniowo. Rzecz naturalna, że Kołłątaj i nowych ludzi na katedry wprowadził. Pomiędzy zaś nimi, jako matematyk i astronom, zasłynał Jan Śniadecki. Po tych świetnych nowego życia zaczątkach, nieraz jeszcze nastawały dla uniwersytetu czasy poniżenia i zastój, ale bądź co bądź wszystko to żywotne jego siły przeniosły i w końcu, odradzając się z wolna, zajął należne mu w nauce stanowisko. Od lat też wielu przewodniczą mu w niej znakomici mężowie, których szereg rozpoczynają profesorowie: Brodowicz, Diethel, Mayer, Skobel, Józef, Kremer, Z. A. Helcel, oraz cały dzisiejszy skład uniwersytecki, któremu przypadł zaszczyt obchodzenia pięćsetletniej rocznicy naukowej instytucji.

Nadmienić tu wypada, iż do niedawna uniwersytet mieścił się w starym gmachu, powstałym na miejscu budynków, zakupionych przy ulicy Ś. Anny przez Władysława Jagiełłę, a wznoszonym i rozszerzanym przez magistrów i osoby prywatne. Dziś w nim pozostała tylko bogata biblioteka uniwersytecka i dawna cela ś. Jana Kantego, przerobiona na kaplicę. Obecnie, zbudowane przy Plantacyach w stylu gotyckim *Colegium novum*, obejmuje pod swym da-

chem wszystkie, rozproszone dawniej wydziały i jest jakby symbolem odrodzenia się prastarej Jagiellońskiej wszechnicy.

Zofia Urbanowska.

## ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg.)

— Zabiłeś największe i najpotężniejsze z drapieżnych zwierząt ogólnie europejskich — rzekł do niego Walter — ładny okaz, niema co mówić! We Francji i Niemczech niedźwiedź jest już prawie wytopiony, a i tu zniknie wkrótce, jeżeli nie będą go oszczędzać.

— O ile wiem — rzekł doktor — nie brak u nas niedźwiedzi, od Tatr aż do Czarnohory; ale mimo to, nie godzi się go tępić bez potrzeby. Zresztą, nie jest on tak znów bardzo niebezpiecznym napastnikiem. Człowieka unika: jeżeli napada, to nie zniecka, ale otwarcie, ufny w swoją siłę.

— Więc ja popełniłem niepotrzebne zabójstwo — odezwał się chłopiec z żalem. — Niedźwiedź może wszedłszy do jaskini, powąchałby każdego z nas i oddalił się w pokojowym usposobieniu?

Górale zaczęli się śmiać.

— Miej sumienie spokojne — odezwał się malarz; — zabijając go uratowałeś jakie łagodne ciele, albo niewinną owcę. Zuch jesteś i koniec!

— Napiszę o tem dziadkowi — powiedział doktor — to mu sprawi przyjemność.

— Walterze — szepnął baronet do stojącego obok młodzieńca — czy pomyślałeś, jak też Davy znalazłby się w podobnym wypadku? Pobudziłby wszystkich swoim krzykiem, a sam schowałby się w najciaśniejszy kąt jaskini. A potem gdy inni uporali się z niedźwiedziem, położyłby się i wołał że jest chory. Nieprawdaż?

Młodzieniec milczał: to co sir Warburton mówił, było najzupełniejszą prawdą i dowodziło, że znał dobrze Dawida. Ale widząc niechęć opiekuna do chłopca, nie chciał jeszcze powiększać jej swemi słowy.

— Tak zwykle bywa z chłopcami, w których wychowaniu przeważa wpływ niewieści — odezwał się, stając niejako w jego obronie.

— I gdy matka jest kobietą nerwową i kapryśną, jak najczęściej francuzki — dokończył baronet.

— Mój wychowaniec najczęściej nie wie, czego się trzymać, kogo słuchać — mówił Walter dalej — bo matka chce nim ciągle kierować, a poglądy moje w sprawie wychowania, nie zgadzają się z pojęciami matki. W skutek tego nawet moje stanowisko w domu waszej Dostojności jest cokolwiek drażliwe i wołałbym...

— Nie kończ, proszę cię, Walterze: wiesz jak cię cenię i jak pragnę żebyś pozostał. Czy nie sądzisz, że dobre towarzystwo mogłoby wpłynąć na niego dodatnio.

— Mówisz sir o tym młodym Polaku?

— Tak. Dzielnym chłopcem! prawym, szlachetnym charakterem. Jeszcze dziecko, a już mężczyzna. Szczęśliwi rodzice!

— On nie ma rodziców — rzekł Walter.

— Zkąd to wiesz?

— Mówił mi doktor, bo on zna tę rodzinę. Jest tam stary dziadek i babka, stara panna, która tu z dziećmi przy-

jechała. Ludzie bardzo niezamożni, prawie ubodzy i czynią nadludzkie wysilenia, by się utrzymać przy liczej, obciążonej długami wioszczynie, a procenta pochłaniają większą część ich dochodów.

— Czemuż jej nie sprzedadzą?

— Zrobiłem tę samą uwagę, ale doktor objaśnił mię, że sprzedaż dobrowolna tam jest źle uważana i każdy dobrze myślący człowiek woli żyć o chlebie i wodzie, niż do tego dopuścić.

Baronet zadumał się.

— Więc to drugie dziecko chyba jest chore, skoro w tak ciężkich warunkach zdobyli się na podróż w Tatry?

— Bardzo wątpliwa ośmioletnia dziewczynka z usposobieniem do płucnej choroby.

Stół już był nakryty i herbata gotowa. Wszyscy chętnie się do niej zabrali. Górale rozsiedli się na trawie, jedząc chleb z bryndzą i czekając na opróżnienie szklanek; tylko profesora nie było — gdzieś zniknął. Warburton próżno się za nim oglądał. Rozmawiano ciągle o niedźwiedziu; górale chcieli zaraz ściągnąć skórę a mięso piec, i pytali się młodego pogromcy, do którego ubita sztuka prawnie należała, czy nie ma nic przeciwko temu, na co łatwo otrzymali zezwolenie. Warburton zaś odezwał się:

— Ponieważ nasze zapasy żywności są już prawie wyczerpane, przeto zamawiam sobie udziec. Spodziewam się, że mój Jerry potrafi z niego zrobić pieczeń, chociaż nie widział nigdy niedźwiedzia.

Sabała odezwał się, że to „godnie smakuje.” Raz gdy zabił niedźwiedzia, urządził jedną szynkę, upiekł przy ogniu, a z sadła zrobił skwarki, ale zachciało mu się do tego kluski. Rozpalił więc kamień w ogniu do czerwoności i włożył do dołka na skale, gdzie wprzód nalał wody. Nasuł tam mąki, omaścił skwarkami i była kluska. A raz znów wziął sadła na patyk i piekł na ogniu, i wnet naciurało mu sadła w kapeluszu. Ale potem nie miał go gdzie podziąć, a kapelusza mu było na głowę trza i sadła było żal, więc je wypił. To go tak wymaściło w płucach, że pięć roków nijakiej krzepoty \*) nie miał.

Słuchacze tylko spoglądali na siebie, a Warburton, któremu to przetłomaczono, uśmiechał się. Prosił aby spytano starego myśliwca, ile też sztuk niedźwiedzi ubił w życiu. Odpowiedział że trzynaście, a drugie tyle postrzelił.

— Coby te niebościki stanyny cök ich wybił, toby hetki w Zakopanem i Kościelisku sicko pojady i ludzi by się pote chycyli.

Wpadłszy na ulubiony temat, Sabała opowiadał dalej że raz cały tydzień szukał niedźwiedzia, którego postrzelił, śladów jego upatrywał na mule wodnym, na mchu, a on tymczasem na wirchy wszedł i tam zdek. Potem owcarze znaleźli go potarganego, a kuny i liski rozniosły jego kości.

Na łące nieopodal schroniska, gdzie widne były szałas pasterzy, rozpalono olbrzymie ognisko. Obciążonego ze skóry i poćwiertowanego niedźwiedzia pieczono na węglach, a woń smierczyny mieszała się z zapachem tłuszczu milszego dla powonienia górali, niż najwonnejsze kwiaty. Widok ten przypominał owe zamierzchłe czasy, gdy ludzie żyli w lasach, a potrzeby swoje zaspakajali na sposób pierwotny. Służący baroneta, przyznając wyższość w przyprawianiu tej mianowicie zwierzyny góralom, stał zdaleka w białym fartuchu, z miną obojętną i założonemi w tył rękami, paląc cygaro. Juhasy za to żwawo uwijali się koło ognia, dorzucając gałęzi i rozszerzonemi nozdrzami wciągając woń niedźwiedziny, zwłaszcza sadła, uważanego w Tatrach za przysmak i lekarstwo na wszystkie choroby. Całe lato na hali, żyjąc tylko serem i żętycą, oblizywali się zawczasu na smaczny kąsek, należący im się po kilkumiesięcznym

\*) Kaszlu.



Juhas.

przymusowym poście. Czarni, zasmoleni, obdarcy, z dzikimi twarzami i błyszczącymi uciechą oczyma, wyglądali jak szatany. Jeden z nich ujął się pod boki, i puścił „drobnego” śpiewając, a Sabała na gęślikach jął przygrywać:

„Owieczki beczaly, kiej się redykały,  
Juhaszczek płakał, nóżki go bolały.  
Bolom nóżki, bolom, bolom i podeszwy,  
Bo one niejeden wierszyczek obesły.”

Przykład ten podziałał zaraźliwie na innych; puszczali się także w taniec, śpiewając kolejno:

„Hej, cóże temu padnie  
Co owieczki kradnie?  
Hej, cóże by mu padło,  
Hej, stryczek na gardło.”



Góral, tańczący „drobnego”.

Taniec ten, zwany *drobnym* powstał prawdopodobnie w ciasnym szałasie lub na krawędzi skały, gdzie szczupłość przestrzeni zmuszała do przebierania nogami w jednym miejscu. Przebieranie, to z niesłychaną odbywające się zręcznością, jest tak szybkie, że wymyka się oczom patrzących; zapal stopniowo wzrasta, a włosy w nieładzie przedstawiają obraz jakiegoś dzikiego szału.

Góral tańczący wygląda jak baletnik, palcami nóg za ledwie dotykając ziemi. Rozwija on największą stosunkowo siłę rzutu w najmniejszej przestrzeni.

Sabała przygrywał z zapalem, gęśliki jego wydały kilka ostrych, przenikliwych tonów, a z piersi starganej wydobył się śpiew:

„Bratowie, bratowie, kochani bratowie,  
Będą nam ścinałi główeczki katowie.”

Na to inny odśpiewał mu:

„Jeszcze nie zbójował, dopiero ten roczek,  
Już mnie chcą zawiesić na żelazny haczyk.”



hr. Stanisław Tarnowski.

obecny rektor uniw. krak. w stroju urzędowym.

Gęśliki zabrzmiały nutą tańca „zbójckiego,” a w tancerzy nowa wstąpiła ochota; ci nawet co dotąd przypatrywali się tylko, jakby tajemniczą pociągnięci siłą, puścili się w taniec, śpiewając chórem:

„Baca nasz, baca nasz,  
Tęgich chłopców na zboj masz;  
Jeszczebyś ich lepszych miał,  
Żebyś im seru dał.”

Ciupagi trzęsły się w powietrzu, potem upadły jednocześnie na ziemię, a dokoła nich rozpoczął się ów dziki, szalony, trudny do opisanego taniec. Jeden z tancerzy wylata w górę wysoko, w locie uderzając się rękami po piętach, inny przypada całym ciałem do ziemi i wylatuje nagle w powietrze, inni potrząsają rękami nad głową jak opętani, a wszyscy wykrzykują, szamocą się, tupią.

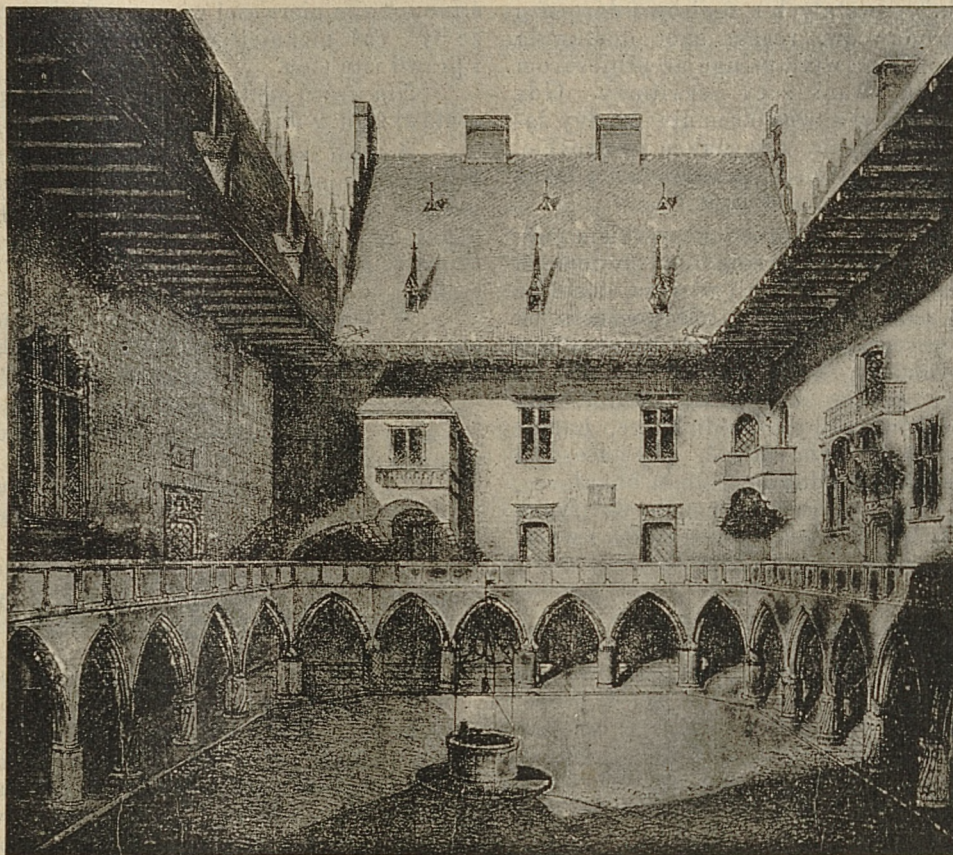
(d. c. n.)

## Uroczystości uniwersyteckie w Krakowie.

Dzień 7-y i 8-y czerwca r. b. poświęcone były w Krakowie uroczystemu obchodowi 500 ej rocznicy założenia i raczej odnowienia akademii, której dzieje poznaliśmy w krótkości z artykułu prof. Plenkiewicza. Piękna to wspaniała uroczystość, obchodząca wszystkich uczonych uczących się całego świata cywilizowanego; sprowadziła do starego grodu przedstawicieli wielu wyższych zakładów

przedstawicieli uniwersytetów obcych we wspaniałych swych strojach, wreszcie profesorowie uniwersytetu i rektor Stanisław Tarnowski poprzedzony berłami rektorskimi, w szkarłatnej, aksamitnej todze, z białym gronostajowym kołnierzem, z łańcuchem i w birecie. Według starożytnego zwyczaju, asystę honorową koło niego tworzyli delegaci cechu rzeźników, niosący na drążkach noże cechowe, przybrane kwiatami.

Po wysłuchaniu Mszy św., odprawionej przez ks. biskupa krakowskiego, Puzyne, i odczytaniu *breve* czyli listu papieża Leona XIII-go z błogosławieństwem, cały pochód



Wnętrze starego gmachu akademii w stylu gotyckim.

naukowych nie tylko z Galicji i Austrii, lecz i z innych krajów. Przybyli więc delegaci uniwersytetów: amerykańskich z Buffalo, Baltimore i Chicago, angielskich — z Edynburgu, Glasgow, Londynu, Oksfordu i Cambridge — dalej, z Petersburga, Helsingforsu, Kopenhagi, Montpellier, Budapesztu, Pragi, Wiednia, Berlina, Genewy i wielu innych, aby w imię nauki złożyć hołd jednemu z najstarszych przybytków wiedzy.

Uroczystości rozpoczęły się wspaniałym pochodem przez udekorowane ulice miasta z Collegium Novum do kościoła Maryackiego. Pochód otwierali studenci uniwersytetu i delegaci młodzieży z innych szkół, dalej szli w liczbie około 1000 doktorowie uniwersytetu jagiellońskiego, deputacye różnych instytucji i rada miejska z prezydentem Friedlejmem na czele, za nimi laureaci, odznaczeni honorowym doktoratem z powodu jubileuszu, pomiędzy którymi znajdował się Henryk Sienkiewicz, następnie

w tym samym porządku udał się do kościoła uniwersyteckiego św. Anny, gdzie wypowiedziane zostały mowy przez rektora, ministra oświaty dr. Hartla z Wiednia i kolejno wszystkich delegatów. Tam też rozdano dyplomy doktorom honorowym.

Wieczorem zaproszeni goście zbrali się w teatrze na przedstawieniu wspaniałego oratorium *Deotymy* z muzyką Zeleńskiego p. t. *Gloria tibi, Alma Mater* \*)! dyalogu K. Górskiego „W lat pół tysiąca” i „Odprawy posłów greckich” Kochanowskiego, odegranej przez studentów.

Nazajutrz w dziedzińcu biblioteki jagiellońskiej odsłonięto pomnik największego uczonego, jakiego wydała akademia — Mikołaja Kopernika, dłuta Godebskiego, i wmurowano tablicę pamiątkową.

\*) *Alma mater* (świątlna macierz) jest to średniowieczny tytuł uniwersytetów.

Ta wspaniała uroczystość, ten liczny zjazd delegatów, znakomitych osób i gości, ta wdzięczność i uznanie założycielom akademii: Kazimierzowi Wielkiemu, Jądwidze i Jagielle, wyrażana przez liczne wieńce, składane na ich grobowcach w katedrze wawelskiej i nabożeństwa za ich dusze, świadczą najlepiej, jak ważną rzeczą jest dla ludzkości prawdziwa i głęboka nauka, jakim poszanowaniem należy otaczać instytucje, które jej dostarczają i jak pilnie a sumiennie trzeba się uczyć, tej szczęśliwej części młodzieży, która może się kształcić w tych wyższych zakładach.

Dawnemi czasy, młodzież uczącą się w akademii i w szkołach parafialnych jej podległych, nazywano żakami. Ponieważ przystęp do tych szkół i wszechnicy miał każdy, zarówno syn szlachecki, jak mieszczkański i wieśniaczy, więc najwięcej było żaków ubogich i nie mających żadnych środków utrzymania, a żadnych nauki. Pewna część uboższej a pilnej młodzieży, znajdowała przytułek i utrzymanie w tak zwanych „bursach,” powstałych z zapisów i darowizn wspaniałomyślnych ofiarodawców, reszta choć dostawała mieszkanie, musiała zarabiać na wikt, usługując profesorom i magistrum. Byli to tak zwani żacy serwitorki. Gdy głód doskwierał, szedł w wolnej chwili od nauki biedny żaczek „od mieszkania do mieszkania z garnkiem po prośbie, skąd jaja, chleb i inne jadło przynosił, przechodzoną jakąś odzież lub nie całkiem jeszcze zużyte obuwie.”

W czasie niektórych świąt, a przedewszystkiem podczas Bożego Narodzenia, chodzili gromadnie po domach z choinkami, śpiewali kolendy, wygłaszali wiersze, dostając za to od mieszczan i sąsiednich obywateli poczęstunek i zapasy. Władze uniwersyteckie utrzymywały rygor wśród tej licznej gromady młodzieży, która nieraz, skłonna do figlów i psot, broiła i na karcer skazywaną bywała. Ale choć życie uboższych żaków nie było wcale łatwe, humor służył im zawsze i tem większą była radość, gdy nareszcie pokonało się wszelkie trudności i dobiło stopnia bakałarza, który zapewniał już pewną powagę i sposób do życia. Wówczas zapominał były żak o przebytych trudach i wołał wesolo: *Vivat, crescat, floreat Alma Mater!*

## Czy pamiętasz?

(Obrządek przedwakacyjny)

Znojnny dzień gasł powoli; słońce schowało się za rozpalone mury.

W cichym pokoiku usiadłem pod oknem i z rozkoszą marzyłem o bliższych wakacjach.

Powoli obrazy przyszłych uciech przesłoniła mgła wspomnień. Widziałem siebie bardzo małym, maleńkim... Wtem szeptem ktoś, może Anioł-Stróż, zapytał łagodnie: „Czy pamiętasz, jak leżąc w łóżeczku, słuchałeś głosu matki, cieszyłeś się pieśczętą ojca? Myśl twoja spoczywała jeszcze w powijkach, ale takie chwile musisz pamiętać!”

O, pamiętam, pamiętam kilka chwil takich! Pamiętam, gdy leżąc w miękkiej pościółce, z trudem kojarząc wrażenia i myśli, kwiliłem, żaląc się nie wiem na co, albo radość swoją wyrażałem śmiechem lub szczebiotem. Ona zwracała ku mnie swoje duże, pełne dobroci oczy, uśmiech szczęścia świecił na Jej ustach, twarz Jej była promienna, anielska prawie i odbijała się w czystym, niezmaconem jeszcze zwierciadle mojej duszyczki; taką ją, tę twarz, zachowałem dotychczas, choć już tyle lat przepłynęło...

Pamiętam, gdy po dziennej pracy On wszedł strudzony, lecz uśmiechnięty, witał się z matką, brał mnie na ręce, przyciskał do serca, a to serce było tętnem miłości i szczęścia; dla mnie poświęcił On może w tym dniu setki, tysiące takich uderzeń, pracując usilnie i może skrącając sobie ży-

cie, a teraz, wyczerpany, pieści i całuje, nie myśląc nawet, jak mu się kiedyś wypłacę.

O, te oczy dobre, te oblicze szlachetne i łagodne nawzawsze zatrzymam w pamięci!

Dwa te drogie odbicia do śmierci świecić mi będą, cieszyć i podtrzymywać w ciężkich chwilach. A Anioł szepce znów: „Czy pamiętasz, gdy już pierwsze zapory zwyciężyłeś, gdy mogłeś już swobodnie myśleć, mówić i chodzić, kto dzielił twoje dziecięce marzenia, kto się nagiął do tych dziecięcych szczebiotów, kto twemi słabemi kierował kroki?”

O, pamiętam, pamiętam, jak dzięki tym dwom drogim istotom coraz nowe pojęcia wzbogacały moją główkę, pamiętam, jak mi oni wskazywali coraz nowe kręgi światła, coraz nowe światy, tajemnicze z początku i wielkie, potem coraz zrozumialsze; pamiętam pierwszą modlitwę i opowieść o Bogu i Najświętszej Paniencie... O, chwile to szczęśliwe, chwile pierwszej wiosny, chwile rozwijania; a czy może być coś piękniejszego, jak poznawanie zjawisk, praw i prawd istnienia.

Nie wrócą się te chwile, ale ich wspomnienie nawzawsze zostawi ślad w duszy i będzie ją bronił od zwątpienia.

Z chwil tych jeszcze jedno rozrzewniające zatrzymaniem wspomnienie: Szarą godziną wracał strudzony ojciec; ledwie wytechnął zdołał po całodziennej pracy, czekała go druga przyjemniejsza może, ale także nużąca: Oto skutkiem usilnych prób moich odbywała się gonitwa naokoło stołu.

Wybuchy serdecznego śmiechu, radość przy wymknięciu się, chwowanie się w krytycznej chwili za matkę, oto sceny, z tych codziennych prawie turniejów pokojowych.

Wspomnienia coraz tłumniej cisną się do głowy. Tajemniczy duch wywołuje je czarodziejskim słowem: „Czy pamiętasz?”

...I oto stoja przedemną chwile dawne...

„Tatusi, Tatusi wróci!” rozlega się donośny okrzyk. Z ciekawością spoglądam na sprawunki z miasta.

„Ach książki, kajety!” Jakiś tajemniczy powiew poleciał z książki, którą po raz pierwszy nazwałem swoją. „Co w niej jest? Co jest w książkach? Nauka! Co to jest nauka?”

Dowiedziałem się wszystkiego powoli.

Lata płyną za latami.

Pokochałem wiele, a więc miałem wiele: Pokochałem ziemię i niebo, pola i lasy, drzewa i kwiaty, ptaszki i zwierzęta, przedewszystkiem zaś Boga i ludzi, a wszystko co miałem i wiedziałem od nich, od tych dwojga miałem i wiedziałem. Nadszedł czas. Trzeba było opuścić Ich drogie progi, iść uczyć się między ludźmi...

O, w ileż to rad zbawiennych mnie uzbroili, ileż mi łask uprosili, ile własnej duszy we mnie przelali!...

Już lat kilka jak zdala od nich kształcę się, a ich obecność duchowa broni mnie od zbrocenia z prostej drogi.

I teraz oto, za dni kilka padnę w ich objęcia, wzmożnię siły przy ich piersi, w atmosferze pól i łąk, drzew i ziół, której mi dostarcza ich praca, ich poświęcenie.

Boże, co za szczęście!

O, nigdy, nigdy nie zapomnę, zapomnieć nie mogę żadnej chwili, łączącej mnie z najdroższymi po Bogu istotami!

J. R.

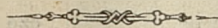
## Szach Perski w Warszawie.

W ciągu kilku dni ubiegłego tygodnia, Warszawa miała w swych murach dostojnego a niezwykłego gościa, mianowicie monarchę Persyi czyli Iranu, Szacha Muzaffer-ed-Dina. Pierwszy to raz po wstąpieniu na tron (1897 r.)

odbywa on podróż po Europie i za przykładem ojca swego zatrzymał się w Warszawie, którą bardzo upodobał. Szach Perski liczy lat 47, zna język francuski i angielski i żywi gorące zamiary podniesienia poziomu oświaty, przemysłu i porządku w swoim państwie. Ponieważ w roku zeszłym w Nr-ze 27 Wieczorów, podaliśmy kilka szczegółów o Persyi, dziś przypominamy tylko, że państwo to, jedno z najstarszych na świecie (gdyż Cyrus król perski żył w VI wieku przed Narodzeniem Chrystusa Pana) — zajmuje przestrzeni 1,645,000 kilom. kw. i liczy około 8 milionów mieszkańców, z których  $\frac{2}{3}$  stanowią najdawniejsi tubylcy, a resztę, iljaci, składający się z różnych plemion napływowych Persowie wyznają przeważnie religię mahometańską, ale sekty szyickiej. Główne ich zajęcie stanowi hodowla bydła, rolnictwo, wyrób dywanów i przedmiotów z wełny i szersci.

Kobiety niższego stanu używają wszelkiej swobody i są pomocnicami mężów w ich zatrudnieniach, bogatsze zaś chodzą w gestych zasłonach, nie widują obcych i zajmują się jedynie prowadzeniem domu i wychowaniem dzieci. Obyczaje ich są zupełnie wschodnie. Przy jedzeniu siedzą na szmatach filcu z podgiętymi nogami. Obrus leży na dywanie, a kromka chleba położona przed każdym biesiadnikiem służy za talerz. Uczestnicy uczy biorą pokarmy palcami i jedzą, milcząc. Pod koniec obiadu podają sorbetu i nargile (fajki), przy których towarzystwo ożywia się i rozmawia. Zwykle powitanie odbywa się przez położenie ręki prawej na piersi lewej i pochycenie głowy.

Na zakończenie podajemy pełny tytuł Szacha: „Szach in Szach, król królów, którego chorążym jest słońce, święty, wzniosły i wielki monarcha, nieograniczony władca i cesarz wszystkich posiadłości perskich.”



## TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

— Żądanie pana Hodge Urricana polega na zupełnie błędnem zrozumieniu woli testatora, i sprzeciwia się wszelkim regulom szlachetnej gry po Zjednoczonych Stanach Ameryki. Jakikolwiek więc jest obecnie stan zdrowia piątej partnerki, i gdyby nawet wykreśloną już została z liczby żyjących, zawsze obowiązkiem włożonym na mnie przez zmarłego Wiliama I. Hypperbona, jest rzucenie kości w dniu 9 tym maja na korzyść piątej partnerki, Heleny Nałęczówny. Gdyby we dwa tygodnie od dnia dzisiejszego, dla tej czy innej przyczyny, nie stawiała się na oznaczonym jej przez los miejscu, wtenczas dopiero gra w dalszym ciągu liczyć będzie tylko sześciu partnerów.

Ale komodor Urrican nie uznał jeszcze za stosowne zamilknąć. Głosem, jak huk grzmotu, począł zarzucać rejentowi Tornbrock oraz zgromadzonym członkom Klubu Dziwaków fałsz, stronność, i interesowność w sprawie. A gwałtowne te słowa znalazły echo w piersi jego towarzysza, zacnego pana Turka, który z twarzą szkarłatną, z podniesionemi w górę pięściami, począł się przeciskać naprzód, ku scenie.

Spostrzegł to komodor:

- Gdzie... gdzie ty idziesz?... — huknął.
- Tam... — zasyczał Turk.
- Po co?

— Zeby ich wszystkich za drzwi powyrzucić...

— Tutaj Turk, ani mi się rusz!... — krzyknął Urrican, i Turk stanął na miejscu, chrapiąc głucho jak dzikie zwierzę przed swym pogromcą, którego nauczyło się słuchać i obawiać.

Tymczasem na zegarze wieżowym wydzwoniła ósma, a z ostatnim jej dźwiękiem rejent Tornbrock ujął drewniany kubeczek, do którego wsunął obie kostki i poruszywszy niemi, dziś widocznie drżącą ze wzruszenia ręką, wyrzucił na rozłożoną jak zwykle na stole kartę.

Prezes klubu i inni jego członkowie podeszli, aby sprawdzić liczbę punktów.

— Sześć i trzy — dziewięć — ogłosił prezes Higginbotham.

— Jaka szczęśliwa liczba! — oto jednym rzutem piąta partnerka dostaje się do dwudziestej szóstej przedziałki; do Stanu Wisconsin — powtarzano sobie wśród publiczności, spieszącej wieść tę roznieść po całym mieście.

### Piąta partnerka.

— Co za szczęście Helu, co za szczęście! Jakież wyjątkne rzucenie kości! — woła Jowita Foley, wpadając jak wicher do mieszkania, niepoumna z wielkiego uszczęśliwienia, że tak hałaśliwe jej wejście może na chorą szkodliwie oddziaływać.

Na szczęście panna Nałęcz nie spała w tej chwili, a do gwałtownych wybuchów swej przyjaźni była już przyzwyczajona, tylko teraz nie spodziewała się jeszcze jej powrotu. Ale, bo też Jowita zaledwie posłyszała wynik gry, wnet jakby jej skrzydła wyrosły u ramion, pośpieszyła do swej przyjaźni.

— A ile jest punktów? — zapytała Polka z pewnym ożywieniem.

— Dziewięć wyobraź sobie, dziewięć: z sześciu i trzech! Jednym skokiem znajdziemy się w dwudziestej szóstej przedziałce.

— Któryż to stan?

— Stan Wisconsin, miasto Milwaukee. Wszystkiego zaledwie dwie godzinki podróży pociągiem pospiesznym! Ale czy wiesz, że dziewięć też punktów, tylko, że z pięciu i sześciu wysłała prościuteńko aż do pięćdziesiątej przedziałki? Tylko to szczęście nie jest znów tak olbrzymie, bo spójrz tylko na mapę gry! Tą przedziałką jest Floryda! I pomyśl! gdybyśmy tak zostały wysłane do Florydy, to znaczy tyle co na koniec świata — mówiła prawie jednym tchem żywa, jak skra Amerykanka, która nie zdolna z wielkiego wzruszenia usiedzieć na miejscu, biegała po pokoju, chłodząc rozpaloną twarzyczkę mapą, której używała niby wachlarza.

— Rzeczywiście masz słusność — zauważyła Helena — trochę daleko od nas do Florydy.

— Wszystkie najlepsze dla ciebie warunki, moja Helu, a dla drugich — no dla drugich naturalnie niech zostaną same złe — rzekła z wesołym śmiechem.

— Bądźże trochę wspaniałomyślniejszą, moja droga! — Mam zrobić wyjątek? Ale dla kogo, czy czasem nie dla Maksa Reala? — zapytała rozbawiona Jowita.

— Dla wszystkich i dla niego również.

— Dla wszystkich nigdy — dla niego, zgodzę się wreszcie, aby ci być przyjemną... Ale co tam, wracajmy do naszych spraw! Otóż pomyśl o ile przedziałka dwudziesta piąta pozwala nam wyprzedzić tamtych, którzy już od dawna są w podróży!... Tylko ty, Helu, nie wyglądasz na zadowoloną — rzekło wreszcie ruchliwe dziewczę, zauważywszy teraz dopiero bladą, spokojną twarz swej przyjaźni. — Nie ucieszyłaś się wcale...

— Przeciwnie, ucieszyła mnie przedewszystkiem twoja radość Jowito. Więc mówisz, że pojedziemy do Wisconsin, do Milwaukee?..

— O, nic spieszego, mamy przecie dość czasu. Za pięć lub sześć dni, gdy już będziesz zupełnie zdrowa,

a choćby też za dwa tygodnie, byleśmy tylko zdążyły tam na dwudziestego trzeciego, przed dwunastą.

— Zaten wszystko jest dobrze, skoro ty jesteś zadowolona, Jowito.

— Jestem nią, jestem o tyle, o ile komodor Urrican nie posiada się ze złości! Szkaradne wilczyśko morskie! Wyobraź sobie, on chciał koniecznie zmusić Tornbrocka, pod pozorem, że ty nie będziesz mogła wyjechać, aby nie dla ciebie, lecz dla niego był dzisiejszy rzut kości. Przedstawił cię jako strasznie chorą, nawet wykreślił cię już z listy żyjących. Ty wiesz, że ja na seryo nikomu źle nie życzyłam dotychczas, lecz nie zmartwiłabym się teraz wcale, gdyby ten komodor zabląkał się w labiryncie, albo dostał się do studni czy też do więzienia, i musiał ponieść najwyższe opłaty. Ale też warto było posłyszeć, co mu odpowiadał Tornbrock. O, to zacny człowiek ten rejent! Doprawdy miałam ochotę go uściskać...

Nie biorąc już w rachunek żywości, z jaką młodą Amerykanką wypowiadała swe myśli i uczucia, było jednak rzeczą pewną, że gra dla piątej partnerki rozpoczynała się pod najlepszą wróżbą. Bo nie dość, iż od razu wyprzedzała znacznie wszystkich, ale co najważniejsza przy obecnym stanie jej zdrowia nie potrzebowała się spieszyć z podróżą skoro, jak wiadomo, Stan Wisconsin sąsiaduje bezpośrednio z Illinois i główne jego miasta Madison i Milwaukee, a mianowicie to ostatnie dla ważnych stosunków handlowych utrzymuje z Chicago stałą i szybką komunikację.

Tak więc dziewiąty maja, który zapowiadał się dość smutnie byłby zakończył się jaknajlepiej, gdyby silne wzruszenie, jakiemu Helena Nałęcz nie mogła się bądź co bądź oprzeć, nie wywołało nowego podniesienia się gorączki.

— Spokojnie, nadewszystko spokoju potrzeba chorej — mówił lekarz, zwróciwszy się do panny Foley w czasie swej wizyty wieczornej. Zadnych silnych wrażeń, jaknajmniej rozmowy — proszę nawet nie siedzieć stale w jej pokoju; za posiłek po trochu rosółu i mleka.

— Ale niebezpieczeństwa właściwie nie ma żadnego nie zaszyły żadne komplikacje — pyta na nowo zaniepokojona Jowita...

— Na teraz nie, lecz któż może ręczyć za przyszłość — brzmi znowu groźna swą tajemniczością odpowiedź uczonego.

Biedna Jowita! Teraz nie śmie już nawet wejść do pokoju Heleny. Więc aby sobie skrócić godziny czuwania, siada w przyległym pokoju, gdzie rozpatruje przy stole mapę szlachtetnej gry po Stanach Zjednoczonej Ameryki, lub odszukawszy w swym „Przewodniku” szczegółowy opis Stanu Wisconsin, czyta go z wielkiem zajęciem, nie pomijając nawet najmniejszego miasteczka; zapoznaje się z miejscowymi warunkami klimatycznymi, zdrowotnością danych okolic, głównymi zajęciami mieszkańców, tak jak gdyby zamierzała tam osiedlić się na stałe.

**Przypominamy o wczesnym ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał III-ci i półrocze II-gie dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Z dziejów cywilizacji, Uniwersytet krakowski, przez Romana Plenkiewicza (z rycinami). — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Uroczystości uniwersyteckie w Krakowie. — Czy pamiętasz? (obrazek przedwakacyjny). — Szach Perski w Warszawie. — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Łamigłówek i rozwiązań. Dodatek: Panna Powidłańska (z ryc.) — Sen próżniaka, dyalog wierszem przez Władysławę Izdebską. — Riki-tiki, bohater dżungli indyjskich, opracowała A. Skibniewska. — Łamigłówek i rozwiązań. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na wakacjach, przez Maryę Łopuszańską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 3 Юня 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balańska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Tymczasem o niestosownem znalezieniu się komodora w sali Audytorium nie przemilczały dzienniki, podając równocześnie wynik gry piątej partnerki. Jakkolwiek niektóre głosy próbowały go tłumaczyć, ogół był przeciw niemu; a jak to zawsze w takich razach bywa, wzrosło jeszcze tem silniejsze zainteresowanie się osobą panny Nałęcz tak, że odtąd pojawiały się co rano i co wieczór oddzielne buletyny o jej zdrowiu, jakgdyby skromna jej osoba była co najmniej księżniczką panującą do domu.

Tak upłynęły dwa dni następne; chora miała się już znacznie lepiej, co nad wszelki wyraz uszczęśliwiało Jowitę. Aż rankiem jedenastego maja wyszła panna Foley z mieszkania, nie zwierzywszy celu swej wycieczki nikomu, ani Helenie, ani starej swej sąsiadce, a gdy po paru wróciła godzinach, uśmiech w pół figlarny, w pół złośliwy igrał na jej twarzy.

— Co cię w tak dobry wprawiło humor, Jowito? — zapytała Polka.

(d. c. n.)

#### ZADANIE KONIKOWE.

ułożyła Srebrna Gwiazdka dla Złotego Słonka.

nia	chcesz	wiać	so	ma
przyj	bie	nie	pra	pra
dru	wie	*	cze	wpierw
czy	rzyj	w to	pe	po
bie	gich	do	się	go

#### ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

##### Łamigłówek pięciu rybaków:

Każdy z rybaków otrzymał  $\frac{1}{3}$  część 45 garncy, t. j. 54 — 9 czyli po 9 rozlanych garncy wódki, ale że jeden zabrał także beczułkę ze swoją częścią więc w beczulce zostało 9 garncy.



## Panna Powidłańska.

### II.

Niema łyżki, — paluszkciem można sobie radzić, potem wymyć przedziutko, przed nikim nie zdradzić. Takie to brzydkie myśli dyabeł szepce w ucho, aniołek je odradza, lecz w sumieniu głucho. Kosztuję raz, dobre! jeszcze raz! wyborne! Szafarka usmażyła powidła wytworne. Jeszcze trochę! Lecz palcem niewiele zdobędę, włożę głowę w garnuszek i tak wprost jeść będę. To mi pomysł! To użyję dziś za wszystkie czasy! Wtem słyszę tuż za drzwiami głośy i hałas. Więc prędko wsadzam głowę, jem łakomie, chciwie, mlaskam językiem, nos walam — już powidła w grzywie. To nie! potem zmyję — i śladu nie będzie. Tak rozmyśla ciotunia w łakomstwa zapędzie. Lecz hałas coraz bliżej — już ktoś drzwi otwiera; mnie włosy stają dębem, żalność gnębi szczerą. I stała się wówczas rzecz straszna, niezwykła, lecz korzyść z niej na przyszłość mą całą wynikła, bo gdy w przerażeniu



straciłam wprost głowę, garnek zakrył twarz, szyję i ciała połowę.

(d. n.)

## SEN LENIWEGO PIOTRUSIA.

Dynlog wierszem

p. Władysławę Izdebską.

OSOBY: Piotruś lat 9. Julek lat 12.

(Scena przedstawia pokój dziecienny: dwa łóżka, obok dwie szafki z książkami. Po obu stronach dwa stoliki, na nich kaje-ty, kałamarze, pióra, ołówki i książki. Przy stolikach parę krzesielek. Drzwi w środku. Piotruś siedzi przy stoliku po lewej, plecami do drzwi zwrócony. Podparty rękoma nad rozłożoną książką, powtarza lekcye z cicha. Julek wesoło skacze po pokoju, podrzuca piłkę i chwytą ją w powietrzu).

Piotruś (powtarza głośno z książki).

Terra est... terra...

Julek (wesoło, podrzucając piłkę)

sapiens.

Piotruś (z gniewem).

nie przeszkadzaj!

I w błąd umyślnie wciąż mnie nie wprowadzaj!...

(powtarza).

Terra est... (po chwili odsuwając książkę).

nie... nie! — choćby pękła głowa,

Nie pojmem więcej już żadnego słowa,

Wszak zachoruje, kto się zbyt uczy.

Ach! w oczach ciemno... w skroniach tętni, huczy...

(rzuca książkę).

Odmieniać kazał mi wyraz „Asinus.”

(płucźliwie).

Bo nie wiedziałem co plus, a co minus.

A teraz... (spogląda w książkę).

nie wiem, jak to w liczbie mnogiej,

Czy asinorum?

Julek (śmiejąc się).

Czy ma osioł rogi?

Piotruś.

Milcz! — przypominasz mi owo straszdyło  
Com widział... Już mi to życie obrzydło!  
W dzień dręczy szkoła... W nocy dręczą zmory...  
(zakrywa oczy, wspierając się na stole).

Julek (pochodząc do niego).

Ależ Piotrusiu... ty... ty jesteś chory...  
Trzeba powiedzieć o tem naszej cioci,  
Pannie Teresie lub siostrzyczce Koci.

Piotruś. (zrywa się gniewny i przyskakuje do Julka).

Nie waż się mówić!... za drugich się boi,  
A gdy nie widzi nikt... to ciągle broi!

Julek (żartobliwie).

Doprawdy? cóż się stało jegomości...  
(zagląda mu w oczy).

Piotruś.

Odejdź odemnie! jestem w strasznej złości!

Julek.

E, mniejsza o to, nie miej mnie za tchórza...

Piotruś.

A kto na dachu był dziś z synem stróża?  
Gdybym chciał tylko śiać, jako ty plotki,  
Bigosu bym ci narobił u ciotki!

Julek.

Bigos rzecz smaczna... wyborna potrawa!...

Piotruś (gniewnie).

Nie o tem mówię! To byłaby sprawa!...  
(patrzy znacząco na Julka).

Julek.

Ale nie zrobisz tego... jestem pewny,  
(z przymileniem).

Prawda Piotrusiu? Wszakżem ja twój krewny,  
Twój najżyczliwszy przyjaciel i sługa,  
Wiem, że ztąd wyszłaby historia długa...

Lecz robią plotki tylko proste baby;  
(po chwili)

Ale naprawdę, ty musisz być słaby,  
Czy podrażniony, przytem dziwnie smutny...

Piotruś (z westchnieniem).

Nie pytaj, proszę... mój los jest okrutny.  
Straszne wspomnienie dręczy mnie i nęka,  
Życie takim życiem — to prawdziwa męka!  
W dzień trud, nauka, (wzdycha) praca, a nocami,  
Miewam okropne sny ze straszdyłami!

Julek.

Prawda! dla czego krzycałeś dziś w nocy?  
Było to jakoś wkrótce po północy...

Piotruś (przerzywając).

Ach! nie wspominaj... bo dotąd mnie dreszcze  
Biorą, gdy wspomnę... i cały drzę jeszcze...  
(siada, przysłaniając oczy rękoma).

Julek.

Lecz co to było? — zecheiej się wynurzyć...  
Ja umiem, widzisz, ze snów świetnie wróżyć,  
Zaraz ci powiem, co ten sen twój znaczy...

Piotruś.

Nie!... tego... tego nikt nie wytlómaczy!  
Nic wiedzieć nie chcę... Nie!... nie będę badał,  
Bo gdybyś... jeszcze to w szkole rozgadał,  
Koledzy śmieliby się... ci, złościcy!  
Nie! wolę trzymać wszystko w tajemnicy.

Niechaj sam cierpię według Boskiej woli,  
Co mnie dolega, niech mnie tylko boli.

Julek.

W tem nie masz racyi! Lżej na sercu bywa,  
Gdy przed życzliwym boleść się odkrywa,  
Mógłbym ci z jakąś przyjąć radą, pomocą...

Piotruś (smutno).

To nadaremno!... Na co to... i po co?  
Ty nie poradzisz... nie! nic się nie dowiesz!...

Julek.

Ej, mój Piotrusiu... tyś dobry... ty powiesz,  
Ty się podzielisz ze mną swym kłopotem,  
Julek cię kocha... wszak dobrze wiesz o tem.

Piotruś.

Wiem, żeś życzliwy dla mnie...

Julek (z zapalem).

Jam ci bratem,

Jakby rodzonym, wierzaj mi!... A zatem...

Piotruś (po chwili wahania).

A zatem słuchaj! we własnej osobie  
Ja sam dziś w nocy przyśnitęm się sobie!

Julek (zdziwiony).

Sam? to rzecz dziwna...

Piotruś.

wszakże to początek,  
Snu tego, jest bowiem i dalszy wątek!...

Julek.

Mów, cóż takiego... nie trzymaj mnie w trwodze.

Piotruś.

O! gdybyś wiedział, jak ja cierpię srodze!...

Julek.

Czy i ja we śnie tym obecny byłem?

(d. n.)

## Riki-tiki.

(Dalszy ciąg).

Ale Riki był za mądry, żeby czas tracić na oglądaniu się. W mgnieniu oka zrozumiał, o co chodzi, podskoczył w górę jak mógł najwyżej, a tuż pod nim podniosła się z sykiem głowa Hagajny, żony węża Haga. W czasie, gdy Riki rozmawiał z Hagiem, Hagajna, stokroć zjadliwsza jeszcze i niebezpieczniejsza od małżonka, postanowiła niewidzialnie z tyłu napaść mungosa i była pewna, że go bez walki pokona. To też z wściekłością zasyczała, gdy się jej zamiar nie powiódł. Riki-tiki spadł spokojnie na grzbiet Hagajny. Gdyby był starszy, wiedziałby, że jednym ściśnięciem zębów może ją teraz uśmiercić, ale bojąc się drugiego ataku nie wbił swych ostrych zębów dość głęboko i odskoczył nie dokończywszy dzieła, zostawiając Hagajnę, wijącą się z bólu i złości.

— Szkaradny, niegodziwy Darsi! — wykrzyknął Hag i jak mógł najwyżej podniósł się ku gniazdkowi.

Ale Darsi przezornie wybudował je wysoko, to też swobodnie siedział teraz na gałązce, kołysząc się wesoło,

nie sobie nie robił z bezsilnej złości strasznych swych wrogów.

Riki-tiki siadł na tylnych łapkach i podparł się ogonem, zupełnie jak kangur. Oczy mu poczerwieniały, co u mungosów jest zawsze dowodem wielkiego gniewu, i zabłyszczały złowrogo, podczas gdy rozglądał się wkoło siebie, a zębami szcząkał, jakby miał nieprzewartą chętkę znów na kimś wypróbować ich siły.

Hag i Hagajna znikli tymczasem wśród trawy. Gdy wężowi zdarzy się chybić w swych zamiarach, słowem ni ruchem nie zdradzi, co w przyszłości zamierza.

Riki nie miał najmniejszej ochoty gonić uciekających w gęstwinie, gdyż się nie czuł na siłach z dwoma naraz węzami walkę prowadzić — oddalił się więc także, krocząc powoli, siadł na zwirowanej uliczce koło domu i tu zamyślił się głęboko. Sprawa była poważna.

### III.

W dawnych książkach przyrodniczych znaleźć można wprawdzie zdanie, że są pewne zioła, które wyleczyć mogą mungosów, ukąszonych przez węża. Ale to są tylko bajki.

Ukąszenie jadowitego węża sprowadza natychmiastową prawie śmierć na małe zwierzątko. To też w walkach takich, na własną tylko odwagę i zręczność liczyć trzeba; zwycięstwo zawisło od bystrości wzroku, od szybkości i zwinności ruchów.

Riki wiedział, że jest młodym i niedoświadczonym (i pod tym względem o ileż był mądrzejszy od tych chłopczyków, co bez powodu mają o sobie zbyt dobre wyobrażenie), to też dumny był i uszczęśliwiony, że udało mu się tak zręcznie uniknąć nieprzewidzianego uderzenia z tyłu. To go napełniło zaufaniem w swe siły i gdy Henryś przybiegł po lekcyach do ogrodu, Riki przyjmował jego pieszczoty i pochwały, jako rzecz całkiem mu należną.

Nagle coś blisko nich zaszeleściło i cichutki głosik w takie odezwał się słowa:

— Mieście się na bacności wy nierozważni, bo choć niewidzialny, śmierć wam przynieść mogę.

Był to Karait, mały, popielato-rudawy wąż, bardzo jadowity. Gdy pełzał po ziemi trudno go było od niej odróżnić, a że ukąszenie jego niebezpieczniejsze jeszcze od ukąszenia Cobry, więc Karait choć maleńki wyrządza ludziom dużo bardzo złego, bo zwykle za późno spostrzegają jego obecność.

Riki-tiki, który na szczęście rozumiał mowę węzów, gdyż jest to jedna z pierwszych i ważniejszych nauk, które młode mungosy od matek swych otrzymują, przędko wyrwał się z rąk Henrysia. Szczególnym swym kołyszącym się chodem, który od rodziców swych w spadku otrzymał, podskoczył ku Karaitowi.

Był to jakby jakiś bardzo oryginalny taniec i Riki w nim tak zabawnie wyglądał, że Henryś nie mógł wstrzymać się od śmiechu. Obok jednak śmieszności swjej, ruchy te miały ogromne znaczenie w walce z węzami, gdyż dzięki nim tylko mungos mógł z niesłychaną szybkością w prawo czy w lewo, pod jakim chciał kątem odskoczyć, unikając tym sposobem napadu. A walka z ma-

łym Karaitem jeszcze niebezpieczniejsza od walki z drugimi węzami, gdyż Karait w skutek swej drobnej postaci tak szybko umie się obracać, że w mgnieniu oka, chybiwszy jedno uderzenie, atakuje z drugiej strony przeciwnika, nie zostawiając mu czasu do oprzytomnienia. Riki nie miał o tem najmniejszego pojęcia, gdyż i z tym wrogiem poraz pierwszy w życiu się spotykał. Ale i tak oczy mu poczerwieniały z natężenia i zapalczowości; kołysząc się w prawo i lewo namyślał się, jakby walkę rozpocząć, gdy nagle Karait rzucił się na niego.

Riki odskoczył w bok, ale w mgnieniu oka mały, jadowity płaz znowu z taką zwinnością ku niemu się rzucił, że o mały włos Riki nie został ukąszony.

— Matko! ojczcie! — wołał Henryś. — Chodźcie tu przędko, zobaczycie, jak nasz Riki z wężem walczy.

Od strony domu rozległ się krzyk przerażenia z ust matki, a tymczasem ojciec nadbiegł już z wielkim kijem. Nim jednak zdążył przybyć na miejsce walki, karait po raz trzeci się rzucił, ale i tym razem chybił.

Widząc to, Riki z wielką przytomnością umysłu skoczył na niego, chwycił go mocno w przednie łapki i zębki tak silnie w grzbiet mu wcisnął, że się prawie schodziły. Potem razem ze swoją zdobyczą, potoczył się na ziemię, ale już na to tylko, żeby tryumfalne koziołki wywracać. Riki był zwycięzcą. Karait, obezwładniony jego ukąszeniem, leżał jakby bez życia. Riki zabierał się do spożycia go razem z kośćmi i skórą i rozpoczynał już nawet od ogona, jak to było w zwyczaju u jego rodziny, kiedy nagle przypomniał sobie, że zbyt obfita ucztą rozleniwia i obezwładnia członki, a że on cienkim i zwinnym pozostać musi, jeśli chce nadal zwalczać węzów. Zaniechawszy więc zdobyczy, zaczął się tarzać z radości w piasku, a potem nosek swój obmywać, patrząc ze zdziwieniem, jak ojciec Henrysia dobijał niebezpiecznego węża.

— Ciekawym w jakim to celu? — pomyślał — przecie ja mu i tak chyba dosyć bigosu nawarzyłem.

— Mój słodki Riki! moje kochane zwierzątko! — mówiła matka Henrysia, przybiegłszy tu także, przyczem wzięła go na ręce i pocałowała. — Moje ty odważne stworzonko, wyratowałeś mojego synka, całe życie będę o tem pamiętała! I znów całowała go i pieściła, płacząc i śmiejąc się na przemiany. Ojciec potakiwał jej, mówiąc, że Opatrzność zesłała im tego obrońcę, a Henryś przypatrywał się temu z uśmiechem, ale zdziwionymi oczami.

Dziwił się także Riki, na co tyle hałasu, bo choć bardzo zadowolony był z siebie i swego zwycięstwa, nie rozumiał przecież, jak wielką przysługę oddał chłopczykowi. — Wieczorem, przy obiedzie, spacerował sobie na białym obrusie, wśród szklanek i talerzy i byłby mógł nie wiem wiele zjeść różnych doskonałych rzeczy, ale w myśli miał ciągle Hąga i Hagajnę. — Więc choć przyjemnie było być pieszczonym i chwalonym przez mamę Henrysia, a na ramieniu tego chłopczyka spoczywać, oczy jego czerwieniały od czasu do czasu i Riki wydawał swój groźny, wojenny okrzyk riki-tik, tiki-tiki-czek!

### IV.

Późno wieczorem zaniósł go Henryś do swego łóżeczka i położył go na szyi tuż pod brodą. Riki za-

dobrze był wychowany, żeby miał mu w spoczynku przeszkadzać, leżał więc jakiś czas spokojnie i bardzo cichutko; jak tylko jednak Henryś zasnął, Riki zeskokczył z łóżka i rozpoczął swą conocną po domu wędrówkę. Po ciemku wśliznął się w najciaśniejszy kącik, gdzie Chuchundra, szczur piżmowy, pod ścianą pełzając, całe noce żałośnie piszczał. Chuchundra byłby miał wielką ochotę choć raz w życiu wydostać się na środek pokoju, ale na taki czyn śmiały nigdy dotąd zdobyć się nie mógł.

Zobaczywszy nadchodzącego Riki, Chuchundra schylił się jeszcze bardziej i do ściany przytulił.

— O nie zabijaj mnie! — pokornie zawołał, płacząc — wspaniałomyślny Riki, daruj mi życie!

— Co za śmieszne obawy! — zaśmiał się Riki pogardliwie. — Nie bój się, nic ci złego nie zrobię. Czy myślisz, że pogromca węzów będzie się pastwił nad takim tchórzliwym, jak ty, stworzeniem?

(d. c. n.)

### SZARADA.

ułożyła Świtezianka.

*Pierwsze jest to przyimek; a zaś drugie trzecie,  
Poza obrębem miasta z łatwością znajdziecie.  
Trzecie i pierwsze w ziemiach syberyjskich płynie,  
Zaś znowu trzecie czwarte męzkie daje imię.  
Wszystko wraz wojownika imię jest wielkiego  
Potężnego geniuszem, choć wzrostem małego.*

### ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

dla kochanych Raków z Siedlisk od Frani K.

Zastąpić kropki literami, aby pierwszy rząd utworzył nazwisko słynnego naszego powieściopisarza. Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Gatunek gliny. 3) Rachunek czasu w dziejach narodów. 4) Schronienie niektórych zwierząt. 5) Instrument muzyczny. 9) Patron rolników. 7) Mieszkaniec krajów podbiegunowych. 8) Miasto nad Wisłą. 9) Rzeka w Syberii. 10) Postać fantastyczna. 11) Ogrodzenie w lesie dla dzik.

zwierza. Sylabe: e—es—bza—dor—dy—dziej—gir—cza—ka—ka—ko—ki—ił—i—in—mos—niec—no—s—wa—war—ro—ra—rzy—ra—sza—zy—zwie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go

Zagadki: Buk, buk, łuk.

### Niteczki Aryadny:

Dni nasze jak dni motylka,  
Życiem wschód, śmiercią południe,  
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,  
Niż w jesieni całe grudnie.

A. Mickiewicz.

## Skrzynka do listów.



Rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali: **Realista**, (I-ą zagadkę źle rozwiązał) **Zawierucha** (I-ą źle) **Gustawa Dobr.**, **Józio B.**, **Mały Rowerzysta**, **Zula i Kunusia**, **Oluś**, **Marynia** i **Ignas W.**, **Wesoła Wiochna** i **Ciekawy Uczeń**.

Obrazek **Milicy** pod tyt. „Pierwsza Burza” ma niektóre ustępy udatne i malownicze, lecz właściwie nie może być uważany za alegoryę. Zaniechać dalszego rozwijania swych zdolności w tym kierunku nie radziłabym ci.

**Gustawie Dobr.** Na każdy list, chociażby najkrótszy, spiesząc z odpowiedzią, lecz gdy przysyłasz, same rozwiązania, nie mam co odpisywać. Przytem nie bądź tak niecierpliwą, wszakże w ostatnim numerze pisałam do ciebie.

Obrażliwość, **Zawierucho** to brzydka wada, a ty mnie o nią posądzasz! Nie obrażam się na was nigdy; jeżeli który z moich korespondentów wymaże mnie ze swej pamięci, jest mi to przykre i bardzo przykre, ale obrażoną się nie czuję. Gdy zaś nauka jest powodem długiego milczenia, to tylko was pochwalam i ciesząc się, że obowiązek na pierwszym miejscu stawiacie. Wyjeżdżam na wieś w dość daleką, przeciwną niż ty stronę. Życzę ci wesołej zabawy podczas wakacji, jak również **Wróżce Leśnej**, której za pamięć dziękuję.

**Zawierucha** dla **Wiochny** pozdrowienia przesyła.

Miły list **Wroźki** z **Kowelskich Lasów**, zapowiada mi nową i sympatyczną korespondentkę, którą witam radośnie. Pismo masz oryginalne, ale brzydkim nazwać go nie można. Musisz się troszkę ogadywać, przyznając ze wstydem, że nie lubisz się uczyć, gdybyś naprawdę była takim leniuszkiem, żałowałabym cię bardzo, bo każda nauka o wiele jest łatwiejsza, gdy się do niej chętnie i z pewnem zamiłowaniem zabieramy. Wszystkie korespondentki, o które zapytujesz pisują do mnie, od **Rosiczki** z **nad Rowu** dawno już bardzo nie miałam ani słówka. Mając nadzieję, że ten pierwszy list ostatnim nie będzie, polecam się twej pamięci.

Bardzo się cieszę zapowiedzią dłuższego listu od **Rybitwy** z **nad Wisły**. Kartka rysowana własnoręcznie bardzo mi się podobała. Do końca czerwca nie wyjeżdżam z Warszawy. Co porabia twój brat?

Miły dowód pamięci **Turkawki** pod postacią ładnej kartki, bardzo mnie ucieszył, dziękuję za nią i życzę, by kuracya do końca powiodła się równie pomyślnie i byś zdrowa, jak rybka, powróciła do domu.

Wasza *Jaskółka*.

### WYMIANA ILUSTR. KART POCZTOWYCH.

**St. Morawski** (przez **Myszków**, **Żarki**, w **Złotym Potoku** gub. **Piotrkowskiej**) pragnie wymieniać ilustr. karty pocztowe z czytelnikami **Wieczorów**, mieszkającymi po za obrębem gubernii **Król. Polskiego**.

**Uwaga Redakcyi.** Dla dogodności czytelników „**Wieczorów**,” zbierających piękne karty pocztowe, możemy pomieszczać bezpłatnie ogłoszenia prenumeratorów naszych o wzajemnej wymianie takich kart, lecz tylko za listownem zezwoleniem ich rodziców lub opiekunów.